Nr. 4. Kraków, 1 Lipca 1891 r. Rok I.

Wychodzi 1 i 15 każdego miesiąca.

Prenumerata wynosi w Krakowie:
rocznie . . . 7 złr. 20 centów
kwartalnie . 1 „ 80 „
miesięcznie . — „ 60 „
Za odnoszenie do domu dopłaca się miesięcznie 5 ct.
Numer pojedynczy kosztuje 30 ct.
Rękopismów drobnych nie zwraca się.

MYŚL

Prenumerata na prowincyi
i w całej Monarchii Austro-Węgierskiej wynosi:
rocznie 8 złr. — ct., kwart. 2 złr. — ct.
W Niemczech:
rocznie 16 m., pół rocznie 8 m., kwartal. 4 m.
We Francyi:
rocznie 20 franków, kwartalnie 5 fran.
Ogłoszenia i reklamy przyjmuje Administracya „MYŚLI" po 10 ct. za wiersz petitem lub jego miejsce za pierwszy raz, a po 5 ct. za następne.

Redakcya i Administracya znajdują się w Krakowie przy ulicy Zielonej L. 8, gdzie też uprasza się nadsyłać wszelkie przekazy i pisma. — Prenumeratę przyjmują również na miejscu wszystkie księgarnie, we Lwowie zaś: Skład główny w księgarni Seyfartha i Czajkowskiego. —

OD REDAKCYI.

W jednym z najbliższych numerów *„Myśli"* rozpoczniemy druk prac z dziedziny etyczno-filozoficznej i estetyczno-literackiej znakomitego krytyka i estetyka p. Cezarego Jellenty, którego cenne współpracownictwo udało się nam na stałe pozyskać.

Rezultat konkursu poetyckiego ogłoszony będzie dopiero w numerze 5tym *„Myśli"*, jednocześnie z wynikiem konkursu beletrystycznego.

Możemy się również podzielić z czytelnikami *„Myśli"* niewątpliwie przyjemną dla nich wiadomością, że już wkrótce rozpoczniemy druk **bezpłatnej „Biblioteki powieściowej"**, którą dołączać będziemy do *„Myśli"* w formie specyalnego dodatku.

Biblioteka *„Myśli"*, zawierać będzie najnowsze utwory beletrystyczne: oryginalne i tłómaczone.

Upraszamy tedy o **wczesne składanie prenumeraty**, dla uregulowania kosztownego nakładu pisma.

* * *

Ktokolwiek obcy, nieznający panujących u nas stosunków, wyszedłszy na Błonia i ujrzawszy misternie ogrodzony tor wyścigowy, oraz moc wielką trybun i stajni, — pomyślałby sobie niewątpliwie, że krakowski tor wyścigowy jest jednym z najpiękniej położonych na świecie pod względem okolicy, że miasto, które tak piękną wytyczyło koniom drogę i nastawiało tyle rozmaitego rodzaju budowli, musi być bardzo bogate. Tymczasem chyba każdy wie, że miasto Kraków nietylko nie topi się w złocie, ale nawet w miedzi nie mogłoby się tak porządnie wykąpać, aby zmyć z siebie wszelki brud niedostatku, biedy i nędzy, który je z wyjątkowem zamiłowaniem obsiadł.

Podobnie obcy, usłyszawszy o składkach urządzanych na afrykańskich niewolników, lub wyczytawszy w gazetach o arcyhojnych ofiarach na jakiś cel dobry, ale taki, na który ofiaruje się wtenczas, kiedy się naokoło nikomu jeść nie chce: pomyślałby sobie, że mieszkańcy Krakowa, otarłszy wprzód wszystkie łzy rodakom swoim, dopiero spieszą z pomocą do Afryki i na drugorzędne łożą cele.

A teraz wyobraźmy sobie, że ten ktoś, zupełnie obcy naszemu starożytnemu, obfitującemu w niedostatek łat, a w zbytek dziur, grodowi, przedsiębierze podróż po Galicyi.

W jednej wsi płacz, albowiem przeszły tam wszystko niszczące burze i stratowały gradem zasiewy, w drugiej jęk, albowiem nadzieję zbiorów odebrały ulewne deszcze, gdzieindziej pożar zostawił za sobą zgliszcze.... Niech jeszcze do tych wszystkich klęsk dołączy się powódź, jak zazwyczaj..... Ów ktoś, który nic podobnie nędznego, jak ogół wsi galicyjskich, w tym zwłaszcza roku, nie widział, powraca, a zaciekawiony jedna swą podróżą, przedsiębierze drugą, po suterenach, zaułkach, przedmieściach.... Nędza, nędza, nędza....

Przed widmem nędzy pędzi na pierwsze i drugie piętro, — prawie wszędzie błyszczący niedostatek; spieszy na tor wyścigowy — z małemi wyjątkami drugie wydanie poprawne błyszczącego niedostatku.... I to miasto, ten kraj urządza wyścigi, posyła pieniądze do Afryki, tysiące składa na cele dobre, ale mniej ważne, niż ludzka dola?!...

Tak, to miasto i ten kraj...

Byliśmy tak długo „pawiem narodów i papugą", że z papugi i pawia na dudka wystrychnięci, jeszcze się bez świetnych dawnych piór obejść nie możemy. Co do nas, sądzimy, że cudzoziemcy, którzy przyjechali na międzynarodowe wyścigi krakowskie, na które miasto wydało kilkadziesiąt tysięcy reńskich, cudzoziemcy, znający nasz stan ekonomiczny, śmiać się z nas muszą i dziwić się, że jesteśmy — tak nierozsądni.

Uroczystość trzeciego maja skromną była, albowiem skromne fundusze" itd....

Na rzecz zbytku znajdzie się u nas zawsze dość „skromnych funduszów, to znaczy, że albo jesteśmy hipokryci, albo też — niech sobie czytelnik sam dośpiewa...

Ależ my musimy iść — nie ręka w rękę, to nie jest naszym ideałem, — ale krok w krok, noga w nogę, za Europą, my, naród z natury konserwatywny, nie możemy zerwać z uświęconą wiekami tradycyą, — passez moi l'expression, — małpowania Europy, my, czoło Słowiańszczyzny!

Jest tyle pól, na których powinniśmy współzawodniczyć z Europą, ale na których albo nas nie ma wcale, albo zamało; jest także tyle pól, na których nietylkośmy nie powinni, ale nam poprostu nie wolno współzawodniczyć z Europą, jest nas tam przecież zazwyczaj o wiele za dużo...

My musimy być cywilizowani na wzór zachodu.

Ależ przedewszystkiem cywilizacya zachodu uczy praktycznego rozumu, cywilizacya ta, to wcielony realizm, a nie bańki mydlane....

Idźmy tak dalej, a w testamencie naszym będziemy mogli zapisać naszym następcom, co niegdyś badeńskiej Izbie zapisał Heine:

Die Thaten, die ich noch nicht gethan,
Den ganzen Vaterlandsrettungsplan....

ELIZA ORZESZKOWA*)

STUDYUM
PRZEZ
J. NITOWSKIEGO.

Jednym z najważniejszych węzłów zadzierzgających się pomiędzy sercem społeczeństwa a powieściopisarzem lub poetą, jest jego swojskość, która w utworach sztuki pozwala ogółowi przejrzeć się jak w zwierciedle, obaczyć samego siebie ze swemi wadami i zaletami, o obok tego znaleść odpowiedni dla siebie estetyczny pokarm. Ta właśnie swojskość, a obok niej zdrowo zrozumiany patryotyzm jest charakterystyczną cechą wszystkich dzieł Orzeszkowej. Każda z jej powieści, nawet i takie drobne utwory, a tchnące prawdziwą poezyą, jak n. p. „Stare obrazki“, tak pozornie obce naszym czasom, na gruncie swojskim wyrosły; zaś w możliwie obszernych i bardziej uplastycznionych formach występuje ona w „Rodzinie Brochwiczów“ i „Nad Niemnem“, dwóch powieściach, stanowiących bezwątpienia koronę dzieł Orzeszkowej. W „Panu Grabie“ jedna z bohaterek powieści, Ryta, w te godne wielkiej uwagi słowa przemawia do brata: „Przewroty i koleje społeczne, a mianowicie koleje nieszczęścia, stosunki i potrzeby naszej społeczności, stawały przed naszemi oczyma. Wtedy wuj nasz z właściwym sobie zapałem i mocą przedstawiał potrzebę ludzi rozumnych i hartownych, zdolnych do logicznego życia i energicznych czynów, a ja całą myśl, całe serce moje przenosiłam do ciebie z pragnieniem, abyś ty był jednym z takich“ (t. 2 str. 120). Ta właśnie myśl da się w zupełności zastósować do naszej autorki, nie opuszcza jej ani na chwilę i w każdej powieści, w każdym niemal rozdziale, widnieje. Stosunki i potrzeby społeczności z jednej strony, a brak i gwałtowna potrzeba ludzi rozumnych, zdolnych do pracy i życia logicznego, z drugiej, — wciąż stoją przed jej oczyma, pobudzając do nieustannej pracy na polu piśmienniczem. Na tem właśnie polega największa zasługa powieściopisarki.

Jako kobieta, z natury rzeczy musiała Orzeszkowa przeważnie zwracać uwagę na sprawy płci swojej, czyli na t. z. kwestyą kobiecą, i poświęcić jej znaczną część swego talentu. Kwestya ta, jak wiadomo, poczęta u nas w początkach stulecia, przechodziła trzy fazy swojego rozwoju: w pierwszej wyobrazicielką jej nazwać należy Klementynę Hoffmanową, w drugiej — Narcyzę Żmichowską, w trzeciej zaś obecnej fazie trwającej mniej więcej od 1865 roku, najdzielniejszą jej rzeczniczką jest bezwątpienia Eliza Orzeszkowa. Skutkiem zmienionych w ostatnich czasach do gruntu ekonomicznych warunków kraju, zrodziły się nowe, nieznane dotychczas potrzeby, którym pod karą zupełnej ruiny materyalnej należało szybko zadośćuczynić. Kwestya pracy i samodzielności każdego członka społeczeństwa stała się jedną z najbardziej palących zagadnień, zaś niezdolność do zarobkowania z jednej strony, a umyślne tamowanie wielu dróg do pracy z drugiej, zrodziło proletaryat liczny i kwestyą kobiecą na nowe skierowało tory. Uzdolnienie kobiety do prac wszelkiego bez wyjątku rodzaju i zupełne zrównanie jej pod każdym względem z mężczyzną stało się hasłem obecnej epoki. Stanowisko, jakie zajęła Orzeszkowa w tym nowym zwrocie, i poglądy jej na tę kwestyą możemy poznać dokładnie z dziełka p. t. „O kobietach“, w którem, rozpatrując stanowisko dzisiejsze nasze osobiste w społeczeństwie, jej cele i drogi, jej wykonanie całe, pozostawiające jeszcze tak wiele do życzenia i wreszcie te wszystkie środki, któremi może kobieta nasza dziś rozporządzać, aby zapewnić sobie byt samodzielny i niezależny — autorka zajmuje stanowisko czysto objektywne i stając na gruncie przeważnie praktycznym, nie występuje z samemi tylko oderwanemi teoryami emancypacyi kobiet, ale usiłuje wskazać sposób zastosowania ich w praktyce i mając na względzie zarówno materyalne jak i duchowe potrzeby płci swojej i społeczeństwa polskiego, liczy się ściśle z istniejącymi u nas warunkami i rozważa, na ile one pozwalają kobiecie polskiej urzeczywistnić te warunki. Przeto dziełko p. t. „O kobietach“ nabiera znaczenia nie jakiegoś traktatu naukowego, ale książki, w celu praktycznym napisanej, mogącej nie jednej zdrowo myślącej czytelniczce otworzyć oczy na wadliwy system wychowania kobiet i określić przed nią jasno obowiązki, które na niej ciężą, zwłaszcza w tak smutnych warunkach, w jakich się obecnie społeczeństwo polskie znajduje.

Poglądy autorki na sprawy kobiece, poglądy, stanowiące najdoskonalszy wyraz dążeń kobiet naszych w epoce dzisiejszej, a sformułowane niejako w ogólnych zarysach w dziełku p. t. „Kilka słów o kobietach“, uwydatniają się niejednokrotnie luźnie w swych szczegółach w wielu powieściach Orzeszkowej, gdzie znajdujemy dokładnie, wprawną ręką skreślone wizerunki kobiet naszych z chwili dzisiejszej. Do rzędu takich powieści przedewszystkiem należą: „Pamiętnik Wacławy“, „Marta“, „Marya“ i „Ostatnia miłość“, jako poświęcone całkowicie kwestyi kobiecej.

W pierwszej z tych powieści, t. j. w „Pamiętniku Wacławy“ poraz pierwszy autorka silniej zaakcentowała wadliwość wychowania kobiet i wykazała zgubne jego skutki. Bohaterka powieści Wacława, chowana przez matkę w sferze arystokratycznych pojęć i konwenansów, wchodzi w życie po ukończeniu pensyi z myślą o zabawach tylko. Młoda i niedoświadczona dziewczyna poczyna się bawić, sądząc, że zabawy są jedynym celem w jej życiu, bo tak sądzi jej matka i wszyscy, co ją otaczają. O istotnem zadaniu człowieka, o potrzebach społecznych, o życiu w ogóle z jego bólami i prawdziwemi rozkoszami, o ludziach wreszcie nie posiada najmniejszych wiadomości. Nie dziw tedy, że pierwszy lepszy mężczyzna, zrujnowany arystokrata i człowiek bez żadnych głębszych zasad moralnych zdołał rozbudzić w niej uczucie pierwszej miłości. Dzięki tylko przypadkowi Wacława w porę przeświadczyła się o moralnej nicości człowieka, z którym już była zaręczoną, i tem zdołała uniknąć smutnego losu wielu kobiet, co wychodzą zamąż, olśnione zewnętrznymi przymiotami mężczyzny. W krótkim stosunkowo czasie po tym fakcie niedoświadczona dziewczyna dała się po raz wtóry obałamucić przebiegłemu hypokrycie, który w słowach szumnych głosząc piękne idee, zdołał ją ująć sobie i rozbudzić w niej nowe uczucie miłości. Jednakże i tym razem rozczarowanie nastąpiło szybko. Dwa takie ciosy wywarły bezwątpienia wielki wpływ na wrażliwą i szlachetną w gruncie naturę dziewczyny. Teraz dopiero poczyna poznawać istotną wartość świata, w którym się obracała dotychczas, i dusza jej poczęła coraz gwałtowniej rwać się do innych krain, nieznanych wprawdzie, ale przeczuwanych, do innych, niż ci, których znała ludzi; usiłowała znaleść wkoło siebie cnotę, szczerość, rozum i miłość gorącą, prawdziwą zamiast występku, obłudy, głupoty i chłodnych form światowych, któremi dotychczas była otoczona. Taka silna reakcya w młodej dziewczynie, chowanej najfałszywiej w świecie, daje się tem wytłómaczyć, że Wacława miała zacnego i rozumnego ojca, profesora, który, mieszkając wprawdzie z powodu niesnasek familijnych, zdala od rodziny, wpływał jednak ciągle listownie na córkę i zacnemi a światłemi radami przeciwdziałał wpływom matki. Właśnie wkrótce potem Wacława wyjechała na dłuższy czas do niego i tu miała sposobność ujrzeć inny świat, świat myśli i czynu. Ojciec, korzystając z odbywającej się walki w duszy córki, nie szczędził usiłowań, aby na swą korzyść ostatecznego nad nią dokonać zwycięstwa.

---

*) W chwili, gdy cały inteligentny ogół polski gotuje się do odpowiedniego uczczenia niepospolitych zasług autorki — jubilatki — wydaje się nam na czasie rozpocząć w łamach *„Myśli“* skreślenie obrazu ćwierćwiekowej działalności pisarskiej Orzeszkowej, tem snadniej, iż pismom zakordonowym cenzura rosyjska zabrania spełnić ten obowiązek publicystyczny. (Przyp. Red.).

W jaki sposób odbywała się stopniowo ta zmiana pod wpływem ojca, nie wiemy, gdyż autorka nie daje nam jej obrazu; po trzech latach dopiero widzimy znowu Wacławę po powrocie do stron rodzinnych zmienioną zupełnie. Zamiast wesołej trzpiotowatej dziewczyny, staje przed nami kobieta dojrzała i rozsądna, umiejąca ocenić ludzi i zajrzeć do głębi ich duszy, przytem zdolna do pracy i pełna energii życiowej. Dodajmy nawiasowo, że dla czytelnika, który nie śledził dokonywających się w ciągu trzech lat przemian w duchu bohaterki powieści, przeskok tak nagły jest bezwątpienia nadto rażącym. Wacława przyjeżdża do matki właśnie w chwili zupełnej ruiny majątkowej i nie mogąc już uratować resztek mienia, własną pracą zabezpiecza nadal matce i sobie byt niezależny w mieście.

„Pamiętnik Wacławy“ pomimo wadliwości w budowie należy do rzędu lepszych powieści, gruntownie wykazujących zgubne skutki wadliwego wychowania kobiet. Mamy tu przesuwający się przed oczyma cały szereg postaci przeważnie kobiecych, smutnych ofiar błędnego kierunku zamłodu. Wszyscy ci ludzie, wchodzący do powieści, należą w znacznej części do sfery arystokratycznej, wszyscy otrzymali mniej więcej jednakowe wychowanie, wzrośli pod wpływem jednakowych idei arystokratycznych, wszyscy zgoła na jeden model byli urabiani, a jednak jakie ogromne różnice między nimi, jakie wręcz przeciwne sobie skutki jednakowego wychowania! Cała tajemnica tego zjawiska polega na różnorodności wrodzonych usposobień człowieka; to, co jednego łamie odrazu i zabiwszy wszelką samodzielność, czyni pokornym i uległym, to samo wywołuje w innym ciągły opór i rozwija niebezpieczne namiętności. Ta sama myśl powtarza się następnie w „Rodzinie Brochwiczów“, tylko mniej uplastyczniona i w mniejsze ujęta ramy.

Szczególny kładzie nacisk Orzeszkowa na upokarzające często godność ludzką stanowisko młodych panien, noszących nazwę d o b r z e w y c h o w a n y c h. „Słyszałam nieraz — mówi Wacława — ubolewających nad tem, że minęła pora, w której dziewice, siedząc u kominkowego ognia, przędły len na kołowrotku; otóż, zdaje mi się, że i teraz zajmują się one tą samą czynnością, tylko, że kominkowy ogień zastąpiło zwierciadło, a zamiast nici lnianych przędą one pasma marzeń i widzeń fantastycznych na wartkim kołowrotku własnej wyobraźni. I zaiste, cóż innego czynić mają? Cóż innego czynić miałam ja, gdy, jako jedyny grunt, na którym miało roztaczać się życie moje, wskazano mi woskowaną posadzkę salonu; jedyny świat dostępny zakreślono przedemną sztachetami otaczającemi ogród; za jedyną pracę dano krosienka z rozpiętą kanwą i kilka, w ponsowy safian oprawnych, romansów i podróży francuskich“. (Str. 248 t. I.).

Te same panny, zgromadzone w swoim pokoiku, zdradzają głuchy i bezsilny bunt przeciw całemu otoczeniu swemu; nie czując na sobie wzroku starszych, wypowiadają otwarcie przed sobą, co czują, a czują nierównie więcej, niżby się z pozoru zdawało. Jednej z nich, zastanawiającej się nad otoczeniem, w którem los żyć jej przeznaczył, kładzie autorka w usta te na zakończenie rozmowy słowa: „Może i są gdzie inni ludzie, ale ja o nich nic nie wiem“. Są to słowa rozpaczy dusz uwięzionych, rwących się do słońca i przeczuwających dobroczynny wpływ jego, słowa wyrzutu dla tych, co nie dali ujrzeć słońca tym biednym istotom i zmarnowali w nich najpiękniejsze dary Boże. W tych słowach tkwi cały tragizm powieści, tem większe mający znaczenie, że nie jest jakimś oderwanym i przypadkowym objawem życia, że nie rozegrywa się wśród jednostek tylko, ale rozciąga się na całe społeczeństwo, że się codzień jeszcze powtarza, będąc koniecznym skutkiem ogólnego uświęconego latami systemu wychowania. (C. d. n.)

KAIN.

POEMAT.

Leconte de Lisle'a.

(Tłum. z franc. A. Lange).

W trzydziestym roku, w czasie próby długowiecznej
Pojmany do niewoli na ziemię Assura,
Togorma, mąż widzący, syn Elma, wnuk Tura,
Miał taki sen, gdy usnął, śród trzciny nadrzecznej...
W godzinie, gdy pod słońcem bieleje natura.

Od kiedy strzelec Jahweh, co śmiertelne ciosy
Mierzy w silnych, ich ciałem karmiąc sępów stada,
Oddał lud swój w niewolę Asyryi, — gromada
Cała, goląc na czaszce i twarzy swe włosy —
Głucho milcząc, bezmyślnie pod jarzmem upada.

Ugięci pod ciężarem tych nędz ustawicznych,
Zgłodniali i spragnieni, spoglądali w strachu
Na ruiny swych grodów i świątyni gmachu,
A jak surowe mięso na jatkach publicznych
Wisieli ich książęta na szubienic haku.

Stopa nieobrzezanych gniotła kark i ducha
Walecznych. W proch upadły, spustoszały mury
Świątyni, gdzie swe modły śpiewały praszczury,
I dziewice płakały pod biczem eunucha,
A z niebios patrzał Jahweh — niemy i ponury.

Więc w dzień ów zostawiwszy przy prababkach siwych
Na swych matach skórzanych uśpione dzieciny
I przecudne niewiasty smutnej swej drużyny,
Syn Elama, od młyńskich trudów uciążliwych,
Znużony, nad Khobarem legł usnąć śród trzciny.

Na pastwiskach promiennie oblanego łanu
W cieniu palm spoczywały byki i rumaki
I wielbłądy dwugarbne, a przy nich strażaki,
Co przybyli z chaldejskiej ziemi i z Iranu
Togorma, mąż Widzący miał oto sen taki.

Oto był wieczór czarów tajemniczych świata
Wówczas, gdy od południa słońc do zórz północy,
W przyrodzie rozkwitały pełne świeżej mocy
Skała, kwiat, zwierz i ptaków gromada skrzydlata
I gdy Bóg śród swych istot oddychał owocy.

Więc był to wieczór czarów. Nad wzgórzami chmury
Wznosząc się nad kipiącej morskiej kadzi łono
Zwieszały się na niebie jako ołów bury,
To znów porwane wirem szalonej wichury,
Z hukiem się w błyskawicę wiążą nieskończoną.

Na zachód jakieś oko purpurowe,
Pogrążało się zwolna w złote morza piany,
A na wschód Gelboe — hor spadzisty, odziany
Od podnóża do szczytu, w swe blaski surowe,
Płonął, jak stos żałobny — jeszcze krwią oblany,

A w oddali, w oddali szumią pustyń piachy
Kędy wyją szakale i gdzie ryczą osły,
I kędy naraz potwór jaki wielkorosły,
Zgrzytem kłów lodowate sieje w okół strachy
I łamie stare palmy co zielono rosły.

Lecz pod Gelboe — horu pasma szczytem śnieżnym,
W gęstej mgle gorejącej od tych płowych woni
Które rozlewa niedźwiedź i król puszczych błoni

Lew, ryczący jak wicher na morzu bezściernem
Słychać było nieznany szum w pomroku toni.

O widział mąż ów zdala jak rosła brzemienna
Żelazem, — ściana grodu, a ponad nią wieże —
I pałace miedziane, niezdobyte leże,
Ul ogromny, o wnętrzu straszliwem gehenna,
Gdzie dni dawnych mieszkali olbrzymi rycerze,

A ci schodzili z szczytu gór i z równin dali
Z głębi lasów i pustyń wieczystych bez wiosny
Niezłomniejsi nad cedry i wyżsi nad sosny —
Zmęczeni, zlani potem, ciężko oddychali,
A każdy w grubych ustach cierpiał głód nieznośny.

A na barkach każdego leżał lew krwiożerczy,
Kosmaty niedźwiedź, albo jeleń wielorogi
A olbrzymie niewiasty szły przez leśne drogi,
Niosąc w dzbankach kamiennych kryształ wód z cysterny,
Szły, z nagiemi ramiony, wolno stawiąc nogi,

Szły, rzucając przed siebie swe dumne spojrzenia —
I stąpały pół nagie i zwinne — z pogodą,
Co była groźna swoją siłą i swobodą,
I białe swoje stopy na mech i kamienie
Z jednakowym spokojem po kolei wiodą.

Wiatry, pełne szacunku, w ich warkoczy splotach —
Drżąc po ich marmurowych karkach się błąkały,
A ściany krwi kolorem malowanej skały
Niby wielkie zwierciadła wiszące w ciemnotach
Szkarłatami wieczoru — grzbiet im oblewały.

(D. c. n.)

KONSTYTUCYA 3 MAJA

w świetle poezyi.

(Dokończenie).

Ogólne podniesienie ducha narodowego oddziałać musiało i na jedyną podówczas scenę polską, której kierownik tak zasłużony około rozbudzenia ducha narodowego (W. Bogusławski) odczuwając żywsze bicie tętna u publiczności, skorzystał z tego uniesienia, aby wyrugować z teatru cudzoziemskie żywioły (operę włoską, balety itp.) i dać wyraz na scenie uczuciom narodowym przez wystawienie sztuk ojczystych, zastosowanych do doniosłej chwili. Przez cały rok majowy (od 3 maja 1791 do końca maja 1792 i długo potem) utrzymywały się z małemi przerwami trzy sztuki... „Powrót Posła". J. U. Niemcewicza, komedya odznaczająca się świetną charakterystyką epoki i osób sejmu czteroletniego, komedya znanego obrońcy stanu miejskiego J. Wybickiego p. t. „Szlachcic mieszczanin", która „braterskiej równości świeżo zapadłą ustawą zatwierdzonej wystawiając użytki" razem ze sztuką W. Bogusławskiego „Dowód wdzięczności narodu" przystosowaną do pierwszej rocznicy obchodu utrzymywały publiczność zebraną tu z całej Polski w podniesionym nastroju uczuć patryotycznych. Pierwsza charakterowa komedya polska p. t. „Powrót Posła" miała na celu wystawieniem typów szlagonów w rodzaju Starosty Gadulskiego, wyśmiać przywary i poglądy partyi przeciwnej reformie, przeciwstawiając im typy dodatnie ze stronnictwa patryotycznego, jakim był usamowalniający swych włościan wielbiciel utworów konstytucyi Pan Podkomorzy. „W kraju wolnym, powiada, w przedmowie do swej komedyi J. U. Niemcewicz, gdzie każdy obywatel składa cząstkę powszechnego rządu, nietylko prywatnego życia obyczaje, ale zdrożne względem całości krajowej opinie prostować należy". Celu tego dopięła komedya Niemcewicza.

Jako dopełnienie tej sztuki cieszącej się niezwykłem powodzeniem napisał W. Bogusławski komedyą p. t. „Dowód wdzięczności narodu".

W przedmowie tłómaczy autor powstanie sztuki:

W czasach ucisku, kiedy na ojczyznę wszystkie uderzały przeciwności; scena publiczna ledwo tylko wystawiać mogła Polaków, cieszących się nadzieją przyszłego szczęścia. Dziś, kiedy konstytucya wydobyła naród z niedoli i na stopniu sławy obok z innymi postawiła mocarstwy, kiedy każdy stan, każdy obywatel, każdy człowiek żyjący na polskiej ziemi, ma wolność i majątek swój zabezpieczony i nowe znajdzie swobody, możeż co przyzwoitszego okazać Narodowe Teatrum jak tę uprzejmą wdzięczność, która się w sercu każdego odzywa?

W sztuce tej zachowującej jeszcze Arystotelesowe przepisy odnośnie do czasu, jedności miejsca i akcyi pozwolił sobie uniesiony powszechnym zapałem autor naruszyć święte reguły dramaturgii pseudoklasycznej.

Występują tu zresztą te same typowe figury co w „Powrocie posłów" Niemcewicza pod temi samemi imionami Oto jak przemawia Starosta Gadulski po otrzymaniu wiadomości o uchwaleniu ustawy rządowej:

Skąd tylko pisma, listy, gazety odbieram
Czytam, że w całej Polsce radość się podwaja
Z uchwalonej ustawy na dniu trzecim Maja,
Wszędzie festyny, armaty huczące,
Same pochwały sejmu, listy dziękujące;
I kiedy szlachcic traci wolności, swobody,
Wszyscy się cieszą, tańczą i sprawują gody.

Jeżeli w tych i tym podobnych obrazach ostatni czyn Rzeczypospolitej przeszedłszy przez pryzmat uczucia i fantazyi poetyckiej uronił coś ze swej prawdy lub inaczej, piękniej zabarwił rzeczywistość, tak, jakby być powinna albo jakby ją pragnął mieć poeta, to postępowanie takie znajdzie usprawiedliwienie w warunkach powstania ówczesnej poezyi. Poglądy bowiem poetów na konstytucyą 3 maja były tylko odgłosem opinii publicznej, jak tego dowodzą zupełnie analogiczne pisma i broszury współczesne.

W życiu człowieka i narodu są chwile krótkie niestety, w której dane jest czuć radość i wesele niezmieszane żadną goryczą. Taką to była chwila w ktorej ogłoszono ustawę 3 Maja. Z tego wychodząc stanowiska nie należy przykładać zimnej miary krytycznej do tych utworów, z małymi wyjątkami nie mających większej wartości estetycznej, zasługujących jednak na baczniejszą uwagę jako pomniki historyczne, jako wierne odbicie stanu opinii współczesnej. Dowodzą one głębokiego przejęcia się narodu całego aktem reformy, wiarą w żywotność organizmu społecznego, który niebawem miano rozćwiartować.

Ale co najgłówniejsza, zarzewia ognia patryotycznego, jaki żywo zapłonął w powstaniach narodowych, tutaj miały swoje ognisko... Sile tego idealizmu narodowego, budzącego nas ze snu długiego i ciężkiego zawdzięczamy, żeśmy zdołali przetrzymać cały wiek barbarzyńskich prześladowań i ostać się jako naród, jej zawdzięczamy, że możemy imię polskie zapisać w złotej księdze dorobków cywilizacyi powszechnej, Należy się więc uczcić źródło tej siły, siedlisko tego uczucia, które przez wiek cały ogrzewało serca milionów, utrwalało ich w miłości i sprawieliwości, które obojętnych powoływało do życia, zwątpiałych krzepiło nadzieją lepszej doli...

W tym duchu patryotycznym przemawiali do narodu póżniejsi i najwięksi nasi poeci. Jeszcze Mickiewicz w „Panu Tadeuszu" przenosił się myślą „W owe lata szczęśliwe, gdy senat i posły:

„Po dniu Trzeciego Maja w ratuszowej sali
Zgodzonego z narodem króla fetowali

Gdy przy tańcu śpiewano: Wiwat król kochany!
Wiwat Sejm, wiwat Naród, wiwat wszystkie stany.“

a skoczne dźwięki „Poloneza trzeciego Maja“ poiły słuchaczów jego najwyższą radością.

Dr. Henryk Biegeleisen.

WOLNE MYŚLI
(FEJLETON).

IV.

Praga, 25 Czerwca.

Po kilku *speechach* w dniu wczorajszym wygłoszonych przez Czechów i Polaków na cześć pracy, zapytał się mnie jeden z braci prażan (nie pamiętam Pospiszil czy Poklepal, ale coś w tym rodzaju) jaki obecnie jest najbliższy program naszej pracy narodowej? Niegrzeczne to pytanie ubezwładniło mnie na razie, ale przypomniałem sobie, że byłem niegdyś dziennikarzem, więc rozpuściwszy żagle blagi (zwracam uwagę na ich bliskie pokrewieństwo z Żaglami „Świata“), zacząłem mówić o podnoszeniu przemysłu, handlu, o opiece nad rękodziełami, o zakładaniu spółek i towarzystw gospodarczych, o hodowli bydła itd. Czech słuchał, słuchał — ale w końcu poprosił o fakta. Tem mnie zabił. Nadrabianie miną na nic się nie byłoby zdało, trzeba było coś przecie wynaleźć. Szczęście mi dopisało: przypomniałem sobie, że urządzamy wyścigi międzynarodowe.

Czech popatrzył na mnie zdziwiony. „Nie sądziłem nigdy, rzekł, żeście już tak daleko zaszli. My dopiero pracujemy nad poprawą koni roboczych i pociągowych, a wy już macie wyścigowce. Hodowla koni, jak widzę, jest u was w całym rozkwicie. Przyjmij pan moje powinszowanie. Prześcignęliście nas o lat kilkadziesiąt....“

Starałem się jaknajprędzej pożegnać Czecha, bo te pochwały zaczęły mnie irytować. Czułem, że Czech najwyraźniej drwi ze mnie....

Rozstawszy się z Poklepalem czy Pospiszilem, a może Chalupą, bo i tacy między nimi bywają, zacząłem zwracać uwagę na konie pragskie. Przy każdym wozie szkapy olbrzymie, każdy koń fiakierski mógłby odrazu pójść do karety naszych magnatów. Kiedy sobie przypomniałem nasze hetki, wstyd mnie ogarnął. A toż tu w Pradze takie konięta jak nasze wystawianoby jako okazy zwyrodnienia najszlachetniejszego ze zwierząt domowych....

Ba! ale my mamy za to wyścigi.

Oni mają pisma specyalne dla każdej prawie gałęzi handlu, przemysłu, rękodzieł i gospodarstwa, my mamy *Sport,* pismo tygodniowe, „poświęcone wszystkim gałęziom sportu i stosunkom towarzyskim“.

To mnie uspakaja i czuję się dumny. Uczucie dumy tak rozpiera moje piersi, że brak mi chęci do przedłużania dzisiejszych „Wolnych myśli“.

Kończę je więc, ale proszę cię jeszcze, panie redaktorze, abyś, jeżeli pora niespoźniona, zgłosił do dyrekcyi wyścigów następujące biegi:

1) Żagiel, po Świecie i Bladze, wałach półkrwi hiszpańsko-francuzkiej, własność „Towarzystwa hodowli niepowołanych krytyków“ i *Sport,* dwumiesięczniak po Bziku i Waryatce, własność pół-hrabiego Zygmunta (kurtka i rękawy zielone, czapka żółta). Meta: Kulparków. Nagroda: pud owsa i cetnar siana.

2) Wodociąg, ogier 20-letni, półkrwi, po Projekcie i Ankiecie, własność gminy miasta Krakowa, Kanalizacya, klacz 18-letnia, po Wodociągu i Komisyi, własność Rady miejskiej (w kurtce niebieskiej, ale bez butów) i Gimnazyum, wałach, po Götzu i Lodowni, własność rządowa. Panowie jadą sami. Meta nieoznaczona. Bez nagrody.

3) Półpanek, ogierek, po Ekonomie i Guwernantce, własność Królestwa Galicyi, Karyerowicz, wałach 5-letni, po Egzaminie i Protekcyi (rękawy, kurtka i czapka białe) własność Królestwa Lodomeryi i Jurysta, po Wekslarzu i Żydówce, własność W. Ks. Krakowskiego. Meta: verwaltungsrathowstwo kolei północnej. Nagroda: order lub tytuł hrabiego.

Na razie w stajni mojej nie mam innych wyścigowców, ale sądzę, że i ci wystarczą do uświetnienia pierwszego meetingu krakowskiego.

K. Bartoszewicz.

CÓRKA LEŚNEGO.
SZKIC POWIEŚCIOWY
przez
WISŁAWA.

(Ciąg dalszy).

Najpierw brat wójtów niósł krzyż duży ze Zbawicielem w cierniowej koronie z Głożyny palestyńskiej, przytępionymi gwoździami przybitym do drzewa. Za nim odrzucony konkurent Warwarki pysznił się białą flagą z wyobrażeniem św. Onufrego. Taka sama pąsowej barwy służyła za tło św. Barbarze patronce górników (choć robotnicy zajęci w pobliskiej kopalni nafty, bez świadomości o tem orędownictwie, spoglądali na unoszącą się w powietrzu tkaninę jedwabną). Chorągwie obrazowe poprzedzały statuę N. Panny przez cztery postrojone dziewczęta niesioną, za którą w wzorowym porządku szedł nauczyciel na czele dzieci; bractwo czyli starszyzna ze światłem, ksiądz prowadzony przez pana Dolickiego kolatora, który bocznymi drzwiami wsunął się do cerkwi, i reszta pobożnych.

Pomiędzy tymi, bogactwem stroju i tuszą przyzwoitą odznaczała się jejmość księdzowa z córką Helunią, blondynką, ubraną podług najświeższej mody; gwoli której zapewne pan Karol siostrzeniec „dziedzica“ fatygował się na nabożeństwo.

Czekał też na nią pod okapem, a skoro tylko wyszła roztrącił tłum i zbliżył się z grzecznym ukłonem mówiąc:

— Dzień dobry paniom! Szkaradny mamy czas. Śnieg wisi w chmurach.

Panna Helusia podniosła ładną twarzyczkę.

— Rzeczywiście — odparła z figlarnym uśmiechem — wielkie to poświęcenie z pańskiej strony, że raczyłeś wziąć udział w uroczystości!

— Klasyczna uroczystość! Istny obrazek rodzajowy!

— Zaściankiem trąci!

— Cóż znowu! Niema wprawdzie tych barw jaskrawych i tego piętna, jakie posiada pochód pielgrzymów w Lourdes, mimo to jest poetyczny i malowniczy!

— W pańskich łaskawych oczach — wtrąciła księdzowa. — Co do mnie, prażnik jest świętym prażnikiem, ale pospólstwo to, ot zwyczajnie prostota, bez edukacyi i politury!

— Zasurowo pani lud nasz sądzi.

— O! o! Panowie z miasta, macie dziś inną modę. Za mego nieboszczyka ojca...

Krzyk przeraźliwy przerwał jej dalsze słowa.

Coś niezwykłego wydarzyło się na czele orszaku, dochodzącego już do krynicy pod dębem, kędy w dni uroczyste wodę błogosławiono. Chłopi wymachiwali kapeluszami, dziewczęta zaś i niewiasty pędziły w jedną stronę, jak stado pierzchliwych owiec, pomiędzy które zgłodniały wilk wypadnie z lasu. Wszystkie trwożnie biły rękoma. Wołały: wtikaj! wtikaj! Popychały się i potrącały wzajem.

Przestrach ich był uzasadniony. Kasztanek bowiem pana Karola, który z amatorstwem uprawiał konną jazdę, i dziś mimo chłodu jesiennego oraz poważnej uroczystości, nie zaniechał tego sportu, spłoszony fruwającemi chorągwiami, brzęczeniem dzwonków u drzewca i śpiewem rozgłośnym, wyrwał się stajennemu i prosto w tłum uderzył.

Ustępowano mu z drogi, salwując się ucieczką. Ale zwierz rozhukany, nie widząc nigdzie wyjścia, w kilku susach znalazł się między ludźmi. Przewrócił pół tuzina dzieci i wyrostków, trącił bab kilka, a zaślepiony trwogą i krzykami, nie poznał pana swojego, chcącego go pochwycić, lecz skoczył w bok i cwałem pomknął w kierunku spadzistego wąwozu, najeżonego cierniami i głogiem, w najgęstszą masę ludzi, gdzie właśnie księdzowa z córką schroniły się przed chwilą.

Helusia wpatrzyła się w oblicza świętych, rysujących się wyraziście niedaleko w mglistem powietrzu. Wzniosła ręce do góry, jak gdyby nadeszła jej ostatnia godzina, literalnie nie mogąc się poruszyć.

Stojąca obok Warwarka zbladła. Inne skamieniały. Nagle z śród grona dziatwy wyskoczył młody nauczyciel. Popchnął niezbyt delikatnie przestraszoną Helusię pomiędzy kobiety i zręcznie jak berajter cyrkowy ujął konia za cugle.

Ten żachnął się, parsknął, poczem niby strzała z łuku puszczona, z nieznacznym ciężarem zniknął w skalnych zaroślach.

— Preczystaja Diwo Maty! — zakrzyknęły jednym głosem niewiasty, gdy zwir i gałęzie z chrzęstem usuwały mu się pod kopytami. — Bidneńki nasz profesor! Bidneńki! Szkoda młodych lat jego!

Śmielszego ducha parobcy, pędem pobiegli za zbiegami, mając liczny orszak ciekawych kobiet w odwodzie. Ksiądz pospiesznie ukończył ceremonie, gdyż i jego zdjął strach o najbliższe osoby.

Spodziewano się okropnej katastrofy. I z bijącem sercem mijano jasne ślady szalonej a niezwykłej jazdy nauczyciela, jak stratowane krzewy, zsunięte kamienie, i strzępki drobne szat jego.

Ale dziwo!

Nieopodal na łączce, kędy latem wyrastała śliczna modra „niezabudź“ i amarantowe kiście „zuzuli“, pośród szmaragdowego kobierca, stał spokojnie profesor przy kasztanku, który trząsł się jak w febrze, drżał całem ciałem, i gęstą parę wyrzucał nozdrzami.

Widocznie prócz zniszczenia nowego garnituru nie poniósł szwanku żadnego; blady był jednak i wzruszony.

Pan Dolicki wziął go z sobą do powozu, a ksiądz wszystkich zaprosił na ucztę prażnikową.

IV.

Śnieg spadł drobny; dla myśliwych na ponowę, a dla biednych na utrapienie.

Wasyl cieszył się, acz jeszcze nie miał chaty dobrze zaopatrzonej, gdyż spodziewał się odkryć owego śmiałka leśnego, który w dwóch podrąbanych sosnach robił coraz większe szczerby, a świeżo zakradł się między świerki i grabinę. Klął też na ulżenie sercu swemu, biedny leśnik co się zmieściło, wszelako z niewielkim skutkiem, bo złodziej był nieodkryty.

Wieczór zapadł. W środku wsi w szkolnym budynku brzęczało, jakby w ulu. Dziatwa, złudzona szarym mrokiem, składała książki i zeszyty, z roztargnieniem odpowiadając na pytania nauczyciela. Korciły ją ławki szkolne. Chciała była jak najprędzej wydostać się na powietrze, ażeby przed błyśnięciem gwiazd na niebie wystawić bałwana ze śniegu, czyli wygładzić go tylko, ukończyć, „ufirniksować“, rano bowiem jeszcze rozpoczęto to arcydzieło bez rąk i oczu, i teraz wypadało je uzupełnić.

— Siedzieć spokojnie! — zabrzmiał głos nauczyciela. — Przed modlitwą zaśpiewamy trochę.

Dzieci spuściły nos na kwintę, niemniej zaczęły piskliwie według taktu:

Złotowolan ci jam, bo tum się urodził.
Sześć latek mi było, do szkołym już chodził —
Chodziłem do szkoły, uczyłem się gładko
A teraz już czytam, jak za panią matką.

A teraz już czytam jak za panią matką, dźwięczało w tempie przyspieszonem, lecz nadaremnie, bo nauczyciel dał znak ręką do uciszenia się i zaintonował:

Hdeż jest ruska otczyna?
Hde prenicia, jaczmena
I hde żyta jest dosyt'
Kudy hołod ne hostyd'
Oj! na! na! oj! na! na!
Tam jest' ruska otczyna!

Oj! na! na! oj! na! na! powtarzało się po każdej zwrotce, a ponieważ tych było kilka, uczniowie zapomnieli już o bałwanie śniegowym. Śpiew huczał, jak trzmiele na wiosnę. W końcu pozostało tylko po nim echo zawieszone w szybach niedokitowanych. Dzieci wychodziły z zwyczajnem „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus“, „Sława Jezusu Chrystu!“ „Chwalić Boga“ podług wyznania i religii.

Nastała cisza.

Nauczyciel otworzył okienko i z pewnem znużeniem siadł przy stole. Nie czuł zimnego prądu wdzierającego się do wnętrza, ani nie słyszał głosów z izby przeciwległej. — Zadumał się.

Na drugiej stronie, silnie zbudowana kobieta krząta się po małym alkierzyku, bo ze względu na urządzenie, przypominające karczmy żydowskie, tak go zwać należy. Chwyta ścierkę leżącą na stole, rzuca ją. Bierze dzbanek z stłuczonym pyszczkiem, stawia na oknie. Poprawia tlejące w piecu głownie, miesza kaszę jakąś w garnuszku. Wreszcie przypomina sobie o kartoflach i z trudem wynalazłszy nóż w kącie przy miotle siada do ich obierania.

Kobieta może mieć około pięćdziesiątki, nie brzydka, jest z dobrodusznym nawet wyrazem twarzy, ale jakiś wewnętrzny niepokój nieprzyjemną ją czyni. Króluje ona tu niepodzielnie, gdyż syn zostawił sobie jedynie małą izdebkę od frontu, oddając matce i ojczymowi dwie ubikacye.

Obieranie kartofli urozmaica sobie mruczeniem: „Sam pies urwie się na łańcuchu — hm — skaranie Boże! — oj! tak! tak! — „Sijak mak“ dodaje do rymu.

Nagle podnosi głowę. W ciemnej obok kuchence coś zaszeleściało. — Czyżby szczury dobrały sie do marchwi i kartofli złożonych prowizorycznie po kątach?

— Czy to ty stary — pyta po chwili, na chybił trafił.

— Ja — odpowiada głos niepewny, i za nim mały szczupły człowieczek z przenikliwemi, chytremi oczami, wsunął się pomaleńku.

Kobieta wstaje energicznie.

— Łazisz za łupem jak kuna po nocy! Coś tam znów przyniósł? — woła, zapalając małą lampkę kuchenną.

— No, no, rybeńko, nie tak ostro — stara się ją uspokoić zagadnięty. — Nałupałem trochę gałęzi w Mechlowym protoku, czyż to kryminał? Człek stary, jak kot wygrzałby się na piecu a tu „duj w palce“.

— A ja ci mówię, napytasz sobie biedy! Znalazłam dziś w kuchni pod kapustą słupek grabiny. Zkąd to?

— O! mówiłem ci już, że stróż Jacko sprzedał mi tę odrobinę za fajkę co mi jakoś ciągnąć nie chciała.

— Ne zduryż aptykaryu! Cóżeś plótł o buczynie, co z niej stołek jest w sieni?

— I buczyna, i grabina, i jeszcze mi obiecał szczypkę dębiny.

— Gdzieś ty podział] oczy staruchu? Nie wstydże ci szachrować, by żyd jaki?

— O! — obruszył się. — Syn nie wstydzi się moich obdartych łokci, a ja mam się wstydzić pracy rzetelnej!

— Jak ty śmiesz to mówić o mojem dziecku? — zawołała, przyskakując doń z zaciśniętymi pięściami — a nie dałże ci to cieplusieńkiego „oberroka“ jak inośmy przyjechali. Co? powiedz! może nieprawda?

— Dał, dał — wynucił prędko, w tył się cofając.

— Matko, cóż znowu za awantura? — dał się słyszeć głos z sąsiedniej izby w drzwiach otwartych.

— Ach, to ty mój Jasieczku kochany! — rzekła, jak gdyby nic nie zaszło, zwracając się do niego, podczas gdy mały człowieczek zerwał się szybko, rzuciwszy robotę pod murek.

— Prosiłem już tyle razy, żebyś się matko powstrzymywała. Szkoła przy drodze. Ludzie chodzą. Nowe wyrosną plotki.

— Żebyś ty wiedział! Żebyś ty wiedział!

— Uspokój się rybeńko! — perswadował małżonek, ale słowa te padły jak krople oliwy na panwę rozżarzoną, i wręcz przeciwny zamiarowi wywarły skutek; kobieta bowiem z furyą przyskoczyła do niego, i byłby może biedak co oberwał, gdyby nie prędkie w tył się usunięcie.

— Może dostałbym co do zjedzenia? — spytał syn, który ciągle stał we drzwiach.

— Zaraz serce, jest kasza gotowiuteńka. Podłożyłbyś szczapkę stary! by mleko skipiało. Cóż stoisz, jako kłoda.

Nauczyciel cofnął się do siebie, długo jeszcze wyczekując na wieczerzę, w czasie bowiem ostatecznego jej sporządzenia wybuchła na nowo wojna małżeńska, posiłkowana całym arsenałem kartaczownic, granatów i t. p. morderczych narzędzi. (C. d. n.)

Z DZIEDZINY PRZYRODY I TECHNIKI.

O fotografii w barwach naturalnych. — Heliochromia i jej zadanie. — Światło-cień w fotografii. — Heliochromia i malarstwo. — Spostrzeżenie Becquerela. — Barwne fotografie Niepce'a i Poitevin'a. — Odkrycie Lippmanna: fotografia widma słonecznego. — Teorya barwnej fotografii.

Przyrodoznawstwo coraz większe czyni postępy, a olbrzymi rozwój techniki słuszną dumą przejmuje człowieka, dowodzi bowiem, że za pomocą rozumnego wyzyskania praw natury dochodzi on stopniowo do coraz większego nad nią panowania. Ale najbardziej zdumiewającym jest objawem, kiedy rozum ludzki w drodze systematycznego badania i teoretycznych obliczeń odnosi tryumf tam, gdzie długoletnie wysiłki praktyków nie mogły pokonać nastręczających się trudności. Tak właśnie stało się z zadaniem *heliochromii*, czyli fotograficznego odtwarzania barw.

Oddawna już, bo zaledwie wynaleziono fotografię, postawiono sobie pytanie, czy nie dało by się tą drogą odtwarzać nie tylko rysunek, ale i naturalne barwy we wszystkich ich odcieniach. Pierwej jednakże należało rozwiązać inną trudność; trzeba było znaleść sposób dokładnego oddawania w fotografii stosunku *świateł i cieni*, bez względu na barwy; okazało się bowiem, że przy dawnym sposobie postępowania tylko pewne promienie światła, mianowicie niebieskie i fioletowe działały dość silnie na uczulone chemicznie płytki fotograficzne. Skutkiem tego pewne kolory: niebieski, zielony, fioletowy — wychodziły na fotografii o wiele jaśniej, niż np. żółty lub czerwony; i dzisiaj jeszcze obserwować można na wielu gorszych fotografiach, że niebieskie części ubrania przedstawiają się w postaci białych plam, a wargi np. wychodzą zbyt ciemne. Należało przeto wynaleść płytki fotograficzne, któreby były równie czułe na światło wszystkich kolorów, by światła i cienie przedstawiały się na fotografii w należytem ustosunkowaniu. Zadanie to rozwiązał właściwie dopiero przed kilku laty berliński profesor V o g e l. Naturalnie, fotografie jego mają zwykły brunatny lub ciemnoszary ton, ale w granicach tego tonu stosunek świateł i cieni oddany jest mniej więcej z naturalną dokładnością.

O wiele trudniejszem, ale też bez porównania ponętniejszem okazało się drugie zadanie: odtwarzanie naturalnych barw. Co za pokusa dla uczonych i wynalazców: oddać przyrodę wiernie i dokładnie, nie tylko w perspektywicznym rysunku, nie tylko z naturalną grą świateł i cieni, lecz we właściwych barwach i tonach, w naturalnym jej kolorycie. Co za świetne zwycięstwo techniki: otrzymać za pomocą łatwej i dokładnej metody fotograficznej to, co dzisiaj otrzymujemy zaledwie w przybliżeniu za pomocą wielu sposobów technicznej reprodukcyi, mozolnych i niedokładnych.

Często nawet przeceniano doniosłość zadania, sądząc, że na tej drodze można otrzymać niby bezwzględne piękno, bo naturę oddaną z możliwie największą, prawie bezwzględną dokładnością. Tym sposobem heliochromia nie tylko zastąpiłaby wszelkiego rodzaju dzisiejsze fotografie kolorowane, heliominiatury, fototypie, oleodruki i t. p., lecz zrobiłaby istotną konkurencyę samemu malarstwu. Co do mnie, nie podzielam wcale tego zdania, bo przekonany jestem, wbrew pewnym dzisiejszym skrajnym poglądom estetycznym, że nie jest bynajmniej ideałem malarstwa, zbliżyć się o ile możności do fotografii; malarstwo ma inne, wznioślejsze cele, i sztuka nie jest wcale fotografowaniem natury, lecz jak powiada Zola, odtwarzaniem natury, widzianej przez pryzmat indywidualności artysty. Gdyby nawet heliochromia dosięgła najwyższej doskonałości, dzieła malarstwa zawsze cenione będą wysoko, i nigdy reprodukcya techniczna nie stanie na równi z twórczością artystyczną. Niechaj więc malarze spokojnie oddają się swej sztuce; niechaj kształcą gust, kompozycyę i szukają nadal we wrażeniach natury środków do urzeczywistnienia swych artystycznych pomysłów; a uczeni i technicy pracować będą nad udoskonaleniem fotografii.

Pracowało już na tem polu wielu uczonych i nieuczonych, a pierwszym poważnym krokiem ku rozwiązaniu zadania heliochromii było odkrycie znakomitego chemika francuskiego Edwarda Becquerela, który już w roku 1848 wykazał, że chlorek srebrawy staje się w p e w n y c h w a r u n k a c h fotochromatycznie wrażliwym, t. j. otrzymuje własność przybierania barwy światła, pod którego działaniem czas jakiś pozostaje. Dzisiaj posiadamy bardzo prosty sposób demonstracyi fotochromatycznych własności. Zanurza się wypolerowaną i dobrze oczyszczoną blaszę srebrną w słaby rozczyn chlorku żelaza. Po chwili blaszka pokryje się cieniuchną warstwą chlorku srebra, skutkiem czego staje się szaropopielatą. Wtedy wyjmuje się ją z rozczynu, osusza kawałkiem sukna i nakrywa się szkłem kolorowem: wiśniowem, zielonem, pomarańczowem... po kilku minutach przy silnem świetle słonecznem n a p ł y t c e w y r a ź n i e w y s t ę p u j ą o d p o w i e d n i e b a r w y.

Spostrzeżenie to stanowi podwalinę heliochromii; chodzi tylko o wynalezienie odpowiednich środków technicznych, któreby pozwoliły wyzyskać je dla otrzymania barwnych fotografij. Nie bez powodzenia pracowali w tym kierunku N i e p c e i P o i t e v i n. Zdołali oni za pomocą środków czysto chemicznych przygotować płytki fotograficzne wrażliwe na barwy światła, a Poitevin otrzymał nawet barwne fotografie na papierze. Ale fotografie ich są nietrwałe i muszą być trzymane w półcieniu, gdyż pod wpływem światła dziennego szybko ulegają zniszczeniu. Nie wynaleziono odpowiednich sposobów utrwalania barwnych obrazów, a przy zastosowaniu zwykle używanych w fotografii sposobów utrwalania — barwy znikały i wychodziła fotografia o zwykłym szarym tonie. Zresztą nie zdołano otrzymać na drodze fotoche-

micznej wszystkich barw, a te które otrzymano, po większej części pozbawione były naturalnych tonów, tak np. barwa rubinowa przybierała suchy odcień miedziany, szmaragdowo-zielona stawała się brunatną i t. p.

Długoletnie usiłowania nie zdołały przezwyciężyć tych trudności — były to po większej części próby czysto doświadczalne bez przewodniej myśli, bez jasno wytkniętej metody. Dopiero w ostatnim czasie znany uczony francuski Lippmann, profesor fizyki w Sorbonie paryskiej, zajął się tą kwestyą metodycznie i wychodząc ze znanych praw optyki, otrzymał dobrze utrwaloną fotografię widma słonecznego, t j. światła słonecznego, rozszczepionego za pomocą pryzmatu na siedm barw zasadniczych. Fotografię tę szczęśliwy wynalazca przedstawił paryskiej akademii umiejętności na posiedzeniu w dniu 2 lutego b. r. wraz z niezbędnem wyjaśnieniem. *(Comptes-rendus, Février. 1891)*. Odkrycie jego polega głównie na dokładnem, naukowem określeniu fizycznych warunków fotochromatycznego działania światła na bromek srebrowy.

Lippmann trzyma się zwykłego sposobu postępowania, używanego przez fotografów, modyfikuje tylko warunki fizyczne. Używa on zwykłej szklannej płytki fotograficznej, powleczonej warstwą chlorku lub bromku srebrowego, zawieszonego w żelatynie, w kollodyum lub w albuminie — jednakże w płytkach Lippmanna warstwa owa powinna być nadzwyczaj cienka, tak, że szklanna płytka zaledwie cokolwiek tylko w opal wpada. Dalej, warstwa ta posiadać winna doskonałą ciągłość, t. j. bromek srebrny powinien być w postaci tak subtelnego proszku i tak jednolicie rozprowadzony w żelatynie, by nawet za pomocą silnego mikroskopu nie można było rozróżniać pojedynczych ziarnek. Wreszcie płytka Lippmanna przylegać powinna uczuloną stroną do rtęci, tworząc w ten sposób rodzaj zwierciadła. W tym celu Lippmann utwierdza swą płytkę w wydrążonej ramce, do której nalewa rtęci między płytkę a tylną ściankę ramki, tak, ażeby rtęć przylegała wprost do żelatyny.

Na zwierciadło w ten sposób przygotowane puszcza się widmo słoneczne i za pomocą zwyczajnych manipulacyj fotograficznych otrzymuje się dokładny obraz siedmiu zasadniczych barw widma. Obraz ten da się zwykłym sposobem bardzo dobrze utrwalić za pomocą podsiarczynu sodu. Lippmann zapewnia, że utrwalone w ten sposób barwne obrazy nie ulegają zmianie nietylko pod wpływem zwykłego światła dziennego, ale nawet pod działaniem najsilniejszego światła elektrycznego.

A teraz nasuwa się pytanie: dlaczego w przytoczonych warunkach otrzymujemy fotografię w barwach naturalnych, pomimo że chemiczny proces i cała w ogóle manipulacya pozostała ta sama, jak przy zwykłych zdjęciach fotograficznych? dlaczego wprowadzenie zwierciadła do zwykłej manipulacyi daje w rezultacie barwne obrazy? Lippmann tłómaczy to za pomocą t. zw. interferencyi światła. Nie będziemy wdawać się w szczegółowe tłómaczenie tego zjawiska, gdyż dla czytelników nie znających optyki, byłoby ono niezrozumiałem. Nadmieniamy tylko, że światło uważane jest dzisiaj w nauce za pewien rodzaj falowego ruchu i że każdej barwie odpowiada inna długość fal. Interferencya jest to pewnego rodzaju wzajemne oddziaływanie fal. Otóż w doświadczeniu Lippmanna promienie światła, przeszedłszy przez warstwę żelatyny, odbijają się od zwierciadła rtęciowego, i fale odbite spotykają się z falami nadchodzącemi, co daje powód do interferencyi. A zjawisko interferencyi sprawia, że siła swatła rozdziela się w warstwie żelatyny nierównomiernie i skutkiem tego osad srebra, powstający z bromku srebrowego tworzy się także nierównomiernie, lecz warstwami, dzieląc warstwę żelatyny na cały szereg nieskończenie cienkich równoległych blaszek, których grubość zależy od długości fal, czyli od barwy działającego światła. Tym sposobem blaszki owe mają zawsze grubość odpowiednią, ażeby odbić barwę taką właśnie, jaka je wytworzyła. Jest to, jak powiada Lippmann, zjawisko analogiczne z zabarwieniem baniek mydlanych, te bowiem przybierają rozmaite kolory zależnie od grubości błonki mydlanej, tworzącej bańkę.

Metoda Lippmanna wymaga naturalnie wszechstronnego wypróbowania i udoskonalenia w praktyce. Manipulacya jego jest dosyć mozolną, przygotowanie płytek wymaga ścisłości, a ekspozycya trwa kilka godzin. Nie wiadomo także, jak się zachowają w obec metody Lippmanna barwy o mięszanych odcieniach, takie np, jak piaskowa, czekoladowa, heliotrop i t. p. W każdym razie jest to olbrzymi krok naprzód. Lippmann otrzymał za pomocą doskonale obmyślanej metody fotografię siedmiu zasadniczych barw w naturalnych tonach; przezwyciężył on najważniejszą trudność: zdołał utrwalić barwne obrazy. I śmiało powiedzieć można, że tym sposobem rozwiązał w zasadzie przynajmniej zadanie heliochromii. A obok tego, odkrycie jego ma wielką doniosłość teoretyczną: jest ono wspaniałą demonstracyą praw, na zasadzie których odbywa się interferencya światła, i genialnem praw tych zastosowaniem. Rozum ludzki, obliczając i kombinując drgania eteru, potrafił ujarzmić promień słoneczny i wyzyskać jego kaprysy dla celów praktycznych. E. L.

NOWE PASTELE

przez

PAWŁA BOURGET'A.

I. Święty.

(Ciąg dalszy).

To też trzeciego wieczora pobytu mego w Pizie, gdy z powodu odjazdu kilku gości, nakrycie moje przy stole hotelowym znalazło się blizko starych panien, rozpocząłem z niemi rozmowę, z góry przekonany, że nie omieszkają skorzystać z tak dobrej sposobności ćwiczenia się w języku francuskim.

Wyobrażacie już sobie zapewne scenę i dekoracyą?

Komnata starożytnego pałacu, przerobiona na salę hotelową, sufit różnobarwnie pomalowany, stół długi z małą liczbą nakryć, gdyż sezon zimowy nie rozpoczął się jeszcze. Na stole kołyszą się w swych miedzianych podporach *fiaschi*, owe rozkoszne butelki z długiemi szyjkami, oplecione łoziną i napełnione winem, tak zwanem *Chianti*. Gdyby maleńka góra, nosząca to miano, dostarczała istotnie wina wszystkim flaszkom, opatrzonym jej etykietą, musiałaby dawać przynajmniej jedno winobranie na tydzień. W każdym razie to fałszowane Chianti, jest prawdziwem winem, to też policzki siedmiu czy ośmiu osób siedzących przy stole, zabarwiły się lekkim rumieńcem po jego użyciu.

Było tam młode małżeństwo niemieckie, odbywające na włoskiej ziemi klasyczną podróż poślubną. Kupiec medyolański z twarzą zmysłową a zarazem wynędzniałą; dwaj liguryjscy mieszczanie, co przybywszy w te okolice, zatrzymali się w Pizie dla uściskania swego siostrzeńca oficera kawaleryi. Był też przy stole i ów siostrzeniec elegancki kapitan wesołego usposobienia, rozprawiający na cały głos trochę gardłowym akcentem, właściwym mieszkańcom Riviery. Opowiadania jego, przerywane co chwila donośnymi wybuchami śmiechu, zaznajomiłyby mnie wkrótce z odyseją całej jego rodziny, i zwróciłbym zapewne na nie uwagę, gdyby nie to, że miss Mary Doleson poruszyła we mnie moją namiętność quatrocentisty czyli rozmiłowanego we freskach i malowidłach na drzewie, z przed 1500 r. Była to bardziej ruda z dwóch Angielek, ta sama, która pendzlem swym akwarelistki tak pracowicie pospolitowała surowy utwór pierwotnego mistrza. — Rozpoczęliśmy długą rozprawę, czy słynny „tryumf“ ma być przypisany Buonamikowi Buffal-

maco, czy Nardo Daddi, a w końcu angielka zapytała mnie nagle.

— A byłeś pan w klasztorze Monte Chiaro?

— W tym, co leży między Pizą a Luką, w górach, z tamtej strony Virruca? — odrzekłem — nie, nie byłem. Czytałem w przewodniku, że za 6 godzin drogi końmi, oglądać tam można zaledwie parę glinianych zabytków Luca della Robbia, i kilka malowideł szkoły Bolońskiej.

— A z którego roku pański przewodnik? — zagadnęła mię sucho miss Klara.

— Nie wiem dokładnie — odrzekłem, zmięszany trochę ironią, jaką odczuwałem w pytaniu. — Jest to może rodzaj przesądu, ale nie rozstaję się nigdy z moim dawnym przewodnikiem, tym samym co mi służył w czasie mojej pierwszej podróży do Włoch. Prawda, że to już kawałek czasu

— O to już czysto po francusku — odpowiedziała miss Klara.

Zrozumiałem natychmiast, że przedrafaelizm tej pani, jest tylko pewną formą jej próżności. Mimo to jednak nie podniosłem owego docinku narodowego, jak bym mógł to uczynić, zwracając natomiast uwagę na czysto brytańską uprzejmość usłyszanej uwagi.

Wobec zaczepnego usposobienia Anglików, milczenie jest najlepszą bronią, bronią, która rani ich do żywego. Łakną oni po prostu przeczenia, przez wrodzony tej rasie instynkt wojowniczy, skłaniający do wszelkiego rodzaju podbojów i prozelityzmów. Przebolałem więc ze spokojem mędrca przeszywające wejrzenie błękitnych oczu miss Klary, gotowej zdaje się w tej chwili wezwać do walki całe plemię Gallo-Romanów. Tembardziej milczałem, żem słuchał co mówiła dalej miss Mary.

— Odkryto tam przed dwoma laty, przecudne freski pańskiego ukochanego Benozza, tak świeże i świetne w kolorycie, jak z kaplicy Ricardi we Florencyi... Wiadomem było, że pracował on w klasztorze, gdzie wykończył między innemi legendę o świętym Tomaszu. Sam nawet potwarca Vasari wspomina o tem. Wiadomo również, że pracę tę wykonał mistrz, w tej samej epoce, w której powstał utwór Pizański, lecz nie zostało z niej ani śladu, gdyż — słuchaj pan, co się stało. — Ojciec Griffi, stary Benedyktyn, który strzeże klasztoru od czasu sekularyzacyi, kazał raz służącemu oczyścić z pajęczyny kącik pod sufitem w celi, służącej obecnie dla pomieszczenia gości. Za nieco silniejszem uderzeniem szczotki, oderwał się kawałek gipsu. W tejże chwili opat zażądał drabiny, i wstąpił na nią, mimo swych lat 90.

A trzeba panu wiedzieć, że ten klasztor jest jedynem jego przywiązaniem, jego namiętnością. Widział go zapełnionym dwustu zakonnikami, a jeśli — po wyroku skazującym ich na wygnanie — pozostał w klasztorze, w charakterze niby kustosza budynku, to jedynie w nadziei, że kiedyś ujrzy ich tam znowu. Ideałem jego jest, aby Ojcowie za powrotem, znaleźli budynek wolnym od wszelkiej skazy. Dlatego tylko wziął na siebie uciążliwy obowiązek przyjmowania na mieszkanie przejeżdżających gości, aby u wrot ukochanego klasztoru nie powstała oberża, jak w Mont Cassin. gdzie Amerykanki urządzały wieczory tańcujące.

— Lecz gdy raz już wstąpił na drabinę — odezwałem się, chcąc przerwać panegiryk Griffego. Obawiałem się, aby ten wylew pochwał nie wywołał przez reakcyą wybuchu protestanckiej nietolerancyi ze strony miss Klary, co się też stało.

— Faktem jest — rzekła, korzystając z chwilowej przerwy, — iż gdybym go sama nie znała, nie uwierzyłabym nigdy, aby tyle inteligencyi i energii ukrywać się mogło pod mnisim kapturem. Gdy był już u szczytu drabiny, — ciągnęła dalej miss Mary — zdrapał starannie gips naokoło i dostrzegł czoło, oczy, usta, w końcu całą twarz Chrystusa. Włosi rodzą się artystami, to już u nich we krwi. To też opat poznał odrazu, iż pod tym pokładem gipsu ukrywa się fresk wysokiej wartości.

— Mnisi — przerwała znowu miss Klara — nie mieli nic pilniejszego jak pomalować wapnem wszystkie arcydzieła z XV wieku, lub zastąpić dekoracyjne dzieła starych mistrzów ornamentami w stylu baroko i freskami z epoki upadku.

A jednak nie kto inny tylko mnisi zamówili w swoim czasie owe dekoracyjne dzieła, co dowodzi, że dobry lub zły smak nie ma najmniejszego związku z wyznawanemi przekonaniami.

— Naturalnie, — odrzekła groźna Angielka. — Pan jesteś sceptykiem, jak każdy Paryżanin. (D. c. n.)

SZKICE NAUKOWE.

II. Filozofia.

Pozytywizm po śmierci Augusta Comte'a w 1857 r. podzielił się na dwie szkoły, uważające siebie za prawowierne córy swego ojca. Na czele jednej z nich stoi dotąd Piotr Laffitte. Nie był on na naczelnika mianowany przez umierającego Comte'a, jak opowiadają jego przyjaciele, ale w skutek tego, iż został wykonawcą testamentu mistrza, wypłynął na plan pierwszy i otrzymał godność dyrektora pozytywizmu od współwyznawców francuskich i angielskich.

Dla tych, którzy należą do wyżej wymienionej frakcyi pozytywizmu, teorye Littré'go o umysłowej chorobie Comte'a zamiast osłabić wiarę w naukę mistrza, aureoli jej jeszcze dodają, popierają bowiem ich dążność do zaprowadzenia reformy w samej doktrynie. Nie zadowalając się wskazówkami, jakie pozostawił Comte — Laffitte rozwija teorye pozytywne pierwszego, przekształca je i reformuje. — August Comte — mówi Laffitte na początku wielkiej pracy o pozytywizmie — założył fundamenty filozofii pierwotnej, ale nie wykończył budowy, chociaż byłby osiągnął cel niezawodnie, gdyby śmierć nie przecięła pasma dni jego żywota. Pragnę zrealizować jego zamiary, chcę wypełnić projekty mistrza.

Po za granicami Francyi — sekta pozytywistów znalazła mnóstwo zwolenników. Na obczyźnie jednak nauka Comte'a trafiła tylko do umysłów bardzo wykształconych, we Francyi zaś przeniknęła do proletaryatu i tutaj wpływ nie mały wywarła. Laffitte spełnia dalej swoją misyą; a w domu przy ulicy *Monsieur le Prince*, gdzie umarł Comte, odbywa się kult religijny i święci się pamięć zmarłego mistrza.

Druga gałęź pozytywizmu nosi nazwę szkoły Littré'go i uważa się również za prawowierną względem mistrza. Szkoła ta odrzuca teorye Comte'a o politycznej i religijnej organizacyi społeczeństwa, zachowywa zaś niektóre zasady podstawowe, uważane przez nią za niezmienne, n. p. bezcelowość poszukiwań po za zjawiskami, prawo trzech stanów ludzkości: teologicznego, metafizycznego i pozytywnego i t. d. Są to dogmaty, rodzaj *credo*, w które wierzyć należy pod grozą ekskomuniki ze szkoły. Szkoła ta miała swój organ, p. t. *La Philosophie positive*, który zdołał zaledwie przeżyć Littré'go († 1881). Pomimo wysiłków panów: Robin'a i Wyrouboff'a, pismo przestało wychodzić w 1884 r. Zasługą tego pisma było, że dzięki ideom, jakie wygłaszało, umysły francuskie zajmowały się wielkimi problematami życia. Trzeba nadmienić, że powodzenie swoje zawdzięczał organ pozytywistów sympatyi, jaką budziła osoba Littré'go.

Kilka przyczyn zachwiało stanowisko tej szkoły, wskutek różnych reform zaprowadzonych przez Littré'go i jego przyjaciół; nauka Comte'a rozłożyła się na składowe pierwiastki i cofnęła się do poglądów i zasad 18 wieku. Potem nastąpił rozkład zasad i powolny zanik szkoły.

Wszystko to w rezultacie doprowadziło pozytywizm do drugorzędnej roli; zamiast przydomka: „nauka", dano mu „imię: metoda". DR. M. J.

LISTY O SZTUCE.

I.

Lwów, 25 czerwca 1891.

Jak dotąd, Lwów posiadał w murach swoich tak nieliczną garstkę artystów, że nie zdołali oni stworzyć w nim ani ogniska sztuki, ani korporacyi, przedstawiającej jakiś kierunek, dążności albo cele. Nie jestem archeologiem i być nim zamiaru nie mam, ciekawem by jednak było istotnie dowiedzieć się, czy i w dawnych czasach mieszkali tu jacy artyści stale, czy tylko zawsze byli sprowadzani z owej niewyczerpanej studni, z Włoch? Mniejsza jednak o nich; po tem, co jako zabytki archeologiczne tu i owdzie jest rozrzucone we Lwowie, widocznem jest „importowanie" sztuki i to nie tylko z Włoch ale i z Niemiec. W świetnem dziele p. t. Lwów starożytny, opisuje teraz Władysław Łoziński właśnie te dawne dzieje sztuki lwowskiej i będą tam rzeczy ogromnie ciekawe, a ze znajomością rzeczy przedstawione. Mnie obchodzi więcej drużyna artystów żyjących teraz, pracujących wspólnie ze mną, bo artystów tych łatwiej mi jest zrozumieć — aniżeli dawnych — odgadywać.

Nie tak dawno jeszcze żyli tu znakomici malarze. Dość wspomnieć Grottgera, Grabowskich, Raczyńskiego, Tepę, Filippiego; żyją i pracują dotąd Rodakowski i Młodnicki, ale artyści to obdarzeni talentem z łaski Boskiej, którym się doskonale działo materyalnie i którzy więcej pamiętali o dniu dzisiejszym, aniżeli o tem, co o nich powie jutro. Być może, że właśnie dlatego stworzyli oni dzieła wiekopomne, proste i naturalne, dające się przez wszystkich rozumieć. Nie stworzyli oni jednak żadnej spójni, nie nadali utworom swoim jednej cechy i charakterystyki, że pochodzą z jednej kolonji artystycznej, gdzie żyjąc razem rozumią się, odczuwają i łączą.

Wielu już z tych artystów umarło, inni spokojni o chleb powszedni pracują stosunkowo nie wiele, mając byt zapewniony, a teraźniejszość i przyszłość lwowskiej sztuki, jest w rękach młodszej generacyi, ćwiczonej już w szkole życia z końca XIX stulecia. Skończyło się bowiem i we Lwowie owo olimpijskie życie artystów i literatów; teraz, walka o byt zmusza ich do pracy ciężkiej, a często i takiej, do jakiej nietyle łaski Boskiej, ile cierpliwości i sprytu potrzeba! Artyści polscy przesuwają się z miejsca na miejsce, wędrując po za domem i wracając powoli z zagranicy do kraju. Kraków, przepełniony po same brzegi mistrzami i proletaryatem wychodzących co roku uczniów ze szkoły Sztuk pięknych, nie wiele daje sposobności do zarobku i wybicia się ponad zwykłą miarę. Warszawa również zagrożona przeludnieniem artystycznego światka, pozostał więc Lwów, który chociaż wyszydzany i wyśmiewany, daje przecież wiele tematów do pracy i zarobku.

W ostatnich kilku latach zaczyna się więc we Lwowie wzmagać młody żywioł malarzy i rzeźbiarzy, następuje otwarcie „salonu" jako filii Tow. Przyj. Sztuki w Krakowie i powoli tworzy się kolonia, licząca już dzisiaj sporą garść pełnych talentu i żywotności przedstawicieli. Publiczność lwowska, pomimo całej masy dyletantów, kupuję dość chętnie i wiele, coraz bardziej interesując się sztuką i artytami.

Zanim zapoznam bliżej czytelników „Myśli" z lwowskimi malarzami i rzeźbiarzami, radbym pomówić choc trochę o samej Wystawie Sztuki jako o pewnem ognisku, w którem właśnie cała działalność tych artystów uwidocznioną być powinna.

Z chwilą, kiedy dawna, peryodyczna tylko Wystawa zamienioną została na ciągłą, zmieniły się jej warunki, zmieniły i wymagania publiczności wraz z krytyką. Jeżeli bowiem na dwanaście miesięcy w roku, mamy jeden wystawiony — to widzimy w nim same nowe nieznane nam obrazy. Jeżeli jednak przez dwanaście miesięcy oglądamy prawie, że jedne i te same prace, to z natury rzeczy zaczynamy coraz rzadziej bywać na wystawie. Nie jest to jednak wina reprezentacyi Wystawy lwowskiej i nie jej trzeba robić za to wyrzuty. Wina ta, spada po części na samych artystów, którzy nie przysyłając wprost do Lwowa swoich obrazów, szukają pośrednictwa w Krakowie, a po części wina to jest Krakowa, który zaanektował sobie prawo miejsca zbiorowego sztuki polskiej, a nie czyni dla swojej filii tego, do czego się zobowiązał.

Objaśniono mnie wprawdzie, że Wystawa krakowska cierpi już od dłuższego czasu na anemią, i że ściany jej pokryte są tylko dzięki geniuszowi Matejki olbrzymiemi płótnami mistrzowskiego pendzla. Muszą być tedy jakieś przyczyczyny tej abstynencyi artystów polskich od udziału w Krakowie, które dyrekcya zbadać powinna i zapobiedz, jeżeli nie dla przyjaźni względem artystów, to choćby dla własnego interesu. Na wystawę do Lwowa, rzadko przybywa pożądany gość zarówno przez publiczność, jak i artystów. Do Lwowa wysyła się z Krakowa zwykle „ausschusy" a bardzo często obrazy tak liche pod względem wykonania, że nie kwalifikują się one nawet do Lwowa. Jeżeli zaś Kraków posiada przyciągające jakieś dzieło Matejki lub Siemiradzkiego to z pewnością przywozi je do Lwowa „generalny impresario" i wystawia po za lokalem tutejszej wystawy, i za osobną opłatą od wstępu.

Traci na tem zarówno powaga instytucyi, jak i członkowie Towarzystwa, ktorzy żadnych innych praw nie mają nad wolny wstęp na wystawę.

Publiczność, zrażona podobnymi eksperymentami, traci niestety ochotę uczęszczania na „swoją" wystawę i sale często bywają puste, bo brak tutaj wabika. Dyrekcya krakowskiego Towarzystwa, wiążąc się z reprezentacyą lwowską, nie powinna stanowczo urządzać osobnych wystaw, a przynajmniej nie żądać od członków Towarzystwa zapłaty, bo tym sposobem psuje swój kredyt i tamuje rozwój zamiłowania i popierania sztuki.

Niemniej ważną kwestyą jest nieodpowiedni lokal tutejszej Wystawy, bo ciasny, niski i ciemny!

Trudno żądać, aby dyrekcya krakowska, która niema za co gmachu u siebie postawić, stawiała go we Lwowie. Dziwić się jednak trzeba bardzo, że dotąd nie znalazł się u nas nikt, coby dla własnego interesu wybudował gmach wystawowy. Potrzebaby na to nie mecenasa sztuki, ale przeciętnego spekulanta, który domy na czynsz buduje — a Zarząd Wystawy płaci przecież za swój lokal dwa razy tyle czynszu co inny śmiertelnik by za niego zapłacił. Ten, ktoby dom dla Wystawy zbudował, miałby oprócz doskonałego materyalnego zysku, i zysk w nazwie „protektora sztuki", ochraniając obrazy od niszczenia na słońcu, a przedewszystkiem dając im dobre oświetlenie i miejsce.

Reprezentacya tutejsza, złożona z ludzi prawdziwie przychylnych artystom i sztuce dokłada wszelkich starań, aby coś na ten lokal „wymyśleć". Mamy nadzieję, że obecny dyrektor hr. Jerzy Dunin Borkowski, człowiek nadzwyczaj energiczny i pełen zamiłowania do rodzimej sztuki w niedługim czasie coś dla zmiany lokalu uczyni, a może zresztą utworzy się między naszymi magnatami „konsorcyum" w celu załatwienia tej piękącej sprawy.

Roman Lewandowski.

Z ŻYCIA ARTYSTÓW.

I. WŁODZIMIERZ TETMAJER.

(Dokończenie).

Upłynął czas jakiś, zanim artysta rozejrzał się dokładnie w świecie monachijskim, zanim zbadał prądy, jakie tam krążą, zanim zdał sobie sprawę ze swojego do nich stosunku. Wspo-

minał też niejednokrotnie pierwsze wskazówki, jakie mu dawał prof. Józef Siedlecki i porównywał je z teraźniejszemi. Teorye jednak, wygłaszane przez profesorów, nie działały na umysł Tetmajera, który korzystał umiejętnie z czynników artystycznych, nagromadzonych w Monachium, lecz nie ulegał żadnemu z panujących lub modnych kierunków. Wkrótce miało na talent naszego artysty spłynąć światło, rozjaśniające dotychczasową nieznajomość drogi, prowadzącej najlepiej do celu.

W pracy swej o Aleksandrze Gierymskim [1]), położył Stanisław Witkiewicz, znany krytyk i artysta, nacisk na charakter twórczości autora t. zw. „Trąbek". Gierymski — zdaniem Witkiewicza — nie przedstawia w obrazach swoich wzruszeń i poglądów podmiotowych na kwestye życia, ale poprostu maluje pewne zjawiska życia z tej strony, z której się ono przedstawia oczom. Życiem dla malarza — mówi tenże krytyk — jest nietylko przejaw siły, ruchu i czucia u zwierząt i ludzi. Życiem jest blask słońca, oblewający równiny, łamiący się wielkiemi plamami po ścianach domów, jest mrok wieczoru itd. Otóż to wszystko, co w naturze jest życiem barw i światła, to przedstawiają obrazy Gierymskiego...

Tego znakomitego artystę spotkał Tetmajer w Monachium. Zawiązana znajomość nie zerwała się tak szybko, jak to nieraz bywa między artystami: Gierymski poczuł w Tetmajerze pokrewny sobie talent, polubił w artyście młodym człowieka — zbliżył się do niego.

Rozpoczęły się wycieczki wspólne do różnych punktów artystycznych w Europie. Gierymski wygłaszał swoje na sztukę zapatrywania, mówił o technice, o zadaniu malarstwa, o nowych ideach i sposobach ich urzeczywistnienia. Tetmajer z właściwą sobie inteligencyą i wrażliwością odczuwał towarzysza i jakkolwiek wiedział, że pójdzie samodzielną, oryginalną drogą w twórczości — z wskazówek Gierymskiego korzystał.

Pod tym wpływem namalował Tetmajer „Kołysankę", a później „Opowiadanie urlopnika", chociaż już w tych obrazach zaznaczył odrębność swego rodzaju.

Spotkanie z Gierymskim i jego indywidualność artystyczna oddziałały na Tetmajera na podobieństwo ogień wzniecających iskier. Stłumiony dotąd żar rozpromienił się i buchnął niepowstrzymaną a gorącą lawą na zewnątrz. Nasz artysta powraca spiesznie do Krakowa, aby na ojczystym gruncie rozwinąć twórczość swoją. Pobudzona w pewnym kierunku myśl jego, zaczyna pracować, ogarniać wszystko, co obecnie uważa za konieczne do objęcia, nie daje się niczem powstrzymać i szuka rozwiązania w ostatecznych dopiero konsekwencyach i skutkach.

Włodzimierz Tetmajer, po kilkoletniej niepewności, znalazł wreszcie pole, godne jego temperamentu i uzdolnienia, pole, na którem, pracując, zyskał już dzisiaj uznanie a w przyszłości zdobędzie niezawodnie sławę. Kto inny, krytyk-znawca oceni dzieła Tetmajera ze stanowiska sztuki, my szkicujemy tylko życie artysty — nic więcej.

Wieś krakowska i lud tutejszy odświeżyły w duszy jego wrażenia dziecinne. Charklowa i głębiej jeszcze Ludzimierz, owe piękne wsi podtatrzańskie — których obraz tkwił niezatarty w mózgu, odezwały się w jasnem wspomnieniu, przemówiły językiem, pełnym brzmień niewypowiedzianie miłych i rozkosznych. Niezrównana rozmaitość barw, dziwna harmonia siermięg i chustek, a nadto śliczne położenie całej okolicy krakowskiej, jej wesoły, pogodny charakter — wszystko to malowniczością i wdziękiem podbiło zmysł wzroku artysty i przykuło do siebie jego serce. W miarę, jak na tem nowem tle staje się obfitszą płodność malarska Tetmajera, w miarę jak z pracowni wychodzą na świat obrazy: „Nad Wisłą", „Kumoszki", „Gracze", „Noc letnia", — zacieśniają się węzły osobistej zażyłości artysty z chłopem: pierwszy poznaje lud coraz bliżej, rozumie jego potrzeby i zalety coraz dokładniej, przywiązuje się do niego coraz goręcej, — drugi patrzy na surdutowca podejrzliwem okiem zpoczątku, z niejakiem zaufaniem następnie, z serdecznem uczuciem na ostatku. Jeszcze chwila wyczekiwania — a potem zobopólne, głębokie przywiązanie, kończące się małżeństwem Włodzimierza Tetmajera z córką gospodarza wiejskiego z Bronowic...

Fakt ten spadł na mieszkańców Krakowa niespodzianie i wywołał wrażenie tak silne, że obawiano się o zdrowie wszystkich dewotek. Plotki stare nagle ucichły, bo świeże opowiadania na temat małżeństwa artysty legendowego nabierały kształtu. Myślano o formalnym najeździe na Bronowice w celu odzyskania utraconego młodzieńca. Obudziła się nieznana dotąd w mieście litość i współczucie dla niedoli.

Tymczasem nasz artysta przez miłość jeszcze głębiej zaczął pojmować ten tak bliski, a tak mało, niestety, znany świat chłopski. Lud w zamian pokochał Tetmajera, dopuścił go do uczestnictwa we wszystkich swoich strapieniach, nędzy i weselu, otworzył przed nim serce, pozwolił mu patrzyć w nie, czytać w niem i badać.

I otworzyła się przed wzrokiem artysty kraina dziewicza, przepełniona skarbami wspaniałych motywów. Tylko patrzyć w nią. a czerpać bez końca! Włodzimierz Tetmajer patrzy i tworzy: „Przy kołysce", „Poranek jesienny", „Wiejską rodzinę", „Kolędników", „Drużbów" i t. d. Co chwila nowy pomysł przychodzi do głowy. Siedzi naprzykład przed chatą w Bronowicach, obok swej żony. Na drzewa padają skośne promienie słońca i blaskiem je stroją. W powietrzu spokój. Przy studni gromada dziewcząt uwija się z konewkami, trącając się łokciami i o ważnych dla siebie rzeczach radząc... Czyż to nie wyborny motyw do obrazu?

A w duszy artysty panuje pogoda niczem niezakłócona. Wszystko, co niegdyś walką i rozterką życia niepokoiło serce, rozpłynęło się w prostocie; burzliwa powierzchnia uczuć pod łagodnem tchnieniem wiosennej doli wiejskiej, zwierciadlanej nabrała przezroczystości; twórczość znalazła żywe źródło prawdziwego natchnienia w tematach ludowych a rodzimych, które dla malarza naszego podwójnie są dzisiaj drogie...

Adam Dobrowolski.

[1]) Sztuka i krytyka u nas. Wydanie drugie. Kraków i Warszawa 1891, str. 403 i dalsze.

Z LITERATURY POWSZECHNEJ.

Słynny krytyk duński Jerzy Brandes w ostatnim tomie dzieła swego: „Literaturen XIX Jarhundert. Ungtyskland" w następujący sposób charakteryzuje ruch literacki w Niemczech, noszący nazwę „Młodych Niemiec". „Młode Niemcy" miały być ostatnim aktem dramatu psychologicznego, który się rozegrał w pierwszej połowie naszego wieku. Reakcya i usiłowania podjęte w celach reformacyjnych znajdują się tu w ustawicznej ze sobą walce. Rok 1848, w którym się kończy ruch ten walką ludów za wolność, tworzy istotnie tragiczny koniec całego dramatu. Chwilami uciemiężony liberalizm brał górę nad reakcyą. Lipcowa rewolucya w Paryżu napędza rządom wiele strachu i kłopotu.

Polskie powstanie budzi w całych Niemczech podziw i współczucie dla Polaków. Reakcya też odtąd z większą energią i bezwzględnością ścieśnia pęta; dopiero rewolucya roku 1848 rozluźniła więzy i od tej pory czuje się i myśli o Europie inaczej.

Tylko na podkładzie tych wypadków politycznych można zrozumieć ruch ówczesny w literaturze niemieckiej. Börne i Heine nadali swą genialnością ruchowi owemu cechę znamienną. Börne swem głębokiem przekonaniem, zamiłowaniem wolności i sprawiedliwości staje się pierwszym przedstawicielem wolności myśli w polityce; Heine posiada niezaprzeczone zdolności uzewnętrznienia nowego życia jego ciemnych i jasnych stron. W filozofii i wszelkich innych gałęziach wiedzy wzięły górę poglądy Hegla.

Na tem głównie opiera się wszystko to, co powstało w następnych latach trzydziestu i co stanowi „Młode Niemcy", reprezentowane przez Gutzkowa, Mundla, Laubego, Wienborga, Feuerbacha. Dążyli oni do większej wolności, do zespolenia rozumu z realizmem. Kiedy rządy wystąpiły nieprzychylnie przeciw temu ruchowi, „Młode Niemcy" wyparły się wszystkiego.

Z poezyi opozycyjnej wykształca się powoli poezya liryczna. Anastazyusz Grün jest jej ojcem. Herwegh, Freiligraht, Prutz, tłumacz Mickiewicza, — Sallet, Hartmann i wielu innych przyłącza się doń.

Obok tych głównych przedstawicieli „Młodych Niemiec“ znajdujemy w dziele Brandesa wiele innych postaci oryginalnych. Ciekawe są też postaci niektórych kobiet, które swym duchem wznoszą się wysoko ponad gmin i wywierają wpływ na poetów niemieckich.

Brandes przytacza z wielką dokładnością najdrobniejsze szczegóły, zbiera anegdoty, aby psychologicznie bohaterów swych scharakteryzować. Zwraca on więcej uwagi na osoby, niż na fakta.

Sposobu badania Brandesa nie można jednak nazwać ani wyczerpującym ani wszechstronnym. Forma gładka, niekiedy styl wypieszczony jednają autorowi szerokie koła czytelników.

Ch. *Letourneau, L'evolution juridique dans les diverses races humaines.* Paris.

Autor jest w socyologii reprezentantem kierunku, przypisującego pierwiastkowi etnologicznemu znaczenie pierwszorzędne. Najnowsze jego dzieło jest zarazem świadectwem rzadkiej głębi oraz sumienności badań. Letourneau, jako darwinista, w socyologii poświęca całą swą uwagę rozwojowi człowieka. W najnowszem swem dziele o rozwoju praw ludzkich wykazuje, że u narodów, stojących na stopniu zbliżonym do zwierząt, pomaga każdy osobnik sam sobie, jest wykonawcą prawa i mści się za krzywdę mu wyrządzoną. Plemiona dzikich, znajdujące się na wyższym stopniu kultury, pozostawiają wyśledzenie złoczyńcy czarodziejowi, a wymierzenie kary naczelnikowi. Autor podaje ciekawe daty, dotyczące rozwoju prawa karnego. Niemniej zajmującem jest dowodzenie, jak na podkładzie etnologicznym powstawało prawo rzymskie i greckie.

W ostatnich czasach zwrócił na siebie powszechną uwagę świata literackiego w Węgrzech dramat Juliusza Versanyi'go p. t.: „Uryasz“ (Uria, Tragodia öt felvonasban, irta Versanyi Gyula.) Utwór ten zajmie bezsprzecznie jedno z najprzedniejszych miejsc w literaturze madziarskiej. Akademia, w uznaniu wysokiej wartości dramatu, odznaczyła jego autora najwyższą nagrodą. Ztąd ogólne zdziwienie, że teatr narodowy niechce wystawić dzieła Versany'ego.

Treść dramatu zaczerpniętą została z historyi biblijnej (z życia króla Dawida). Autor zmienił osnowę dowolnie, gdyż zrobił Uryasza głównodowodzącym, którego król wysyła przeciw nieprzyjacielowi i daje polecenie jednemu z żołnierzy zabicia go podstępnie. Uryasz dowiaduje się o zdradzie i w celu zemsty namawia Absaloma do buntu, zdobywa Syon i w pałacu królewskim morduje swą niewierną żonę; wreszcie zwyciężony w walnej bitwie, kończy samobójstwem.

Postać Dawida ma w sobie jednoczyć dwa pojęcia: powagę syońskiego króla i zmysłowość oryentalnego despoty. Utwór Versanyi'ego odznacza się siłą niepospolitą i poetyckim polotem. *K.*

ROZRYWKI NAUKOWE.

Zapytania. — Gdzie jest granica techniki i artyzmu?

Jakim sposobem, jadąc koleją, możemy mierzyć względną odległość różnych przedmiotów od plantu kolei?

Jakie jest prawdopodobne pochodzenie „Morskiego Oka“ i innych jezior, podobnie umieszczonych?

Odpowiedzi. *(Patrz nr. 3).* Parowanie wody w zbiornikach naturalnych na ziemi zależy od położenia geograficznego zbiornika, od pory roku, od siły i kierunku wiatru.

Według Cruls'a gwiazdy spadające, czyli meteory krążą dokoła słońca w kierunku przeciwnym obiegowi ziemi.

W epoce, gdy ziemia była rozpaloną masą płynną, woda, wypełniająca dziś oceany była w postaci pary w atmosferze.

Maksymę: *„ex nihilo nihil fit“* przypisuje Diogenes Laërtius Demokrytowi i Diogenesowi z Apolonii.

Ślepotą psychiczną *(Seelenblindheit)* nazwał uczony berliński Munk, stan umysłowy zwierząt, na których dokonał operacyi wycięcia z obydwu półkul mózgowych kawałków kory mózgowej, mających 15 mm. średnicy, a grubych na 2 mm., z tyłu linii, przeprowadzonej prostopadle od końca rowka Sylwiusza do szczeliny międzypółkulowej. Stan ten charakteryzuje się tem, że zwierzę choć widzi wszystko, to jednakże znanych sobie dawniej przedmiotów nie poznaje już wzrokiem i zwolna, dopiero uczy się je poznawać.

ODPOWIEDZI OD REDAKCYI.

Krod. Lwów. Wiersze Sz. Pana, jakkolwiek świadczą o pewnym talencie, są przecież zbyt słabe co do formy, a zbyt banalne co do pomysłu, abyśmy mogli je w łamach naszego pisma pomieścić. Tłomaczenie przedstawia się lepiej — czy jednak dosłownie z oryginału przetłomaczył Sz. Pan, w strofie o umierającej z nędzy kobiecie, że dola jej jest „sierdzista“?

Jednej z wielu we Lw. Uwagi Sz. Pani zamieścimy w jednym z następnych numerów „Myśli“.

Pani Julii N. Dziękujemy za słowa uznania i sympatyi.

P. Dr. Janowi F. Żądany adres: Paris. Avenue de Trudain 41.

Najlepsze rozwiązanie zagadki, umieszczonej w nr. 3 „Myśli“ nadesłał p. Edw. Żeleński z Krakowa, któremu też przyznaliśmy nagrodę.

Za Komitet redakcyjny: Józef Bornsztein.

Z drukarni Związkowej w Krakowie, pod zarządem A. Szyjewskiego. Redaktor odpowiedzialny i Wydawca: Józef Tarczeński.